

Arthur Machen

WIELKI BÓG PAN

ZBIÓR OPOWIADAŃ

błysk

Wielki bóg Pan

Zbiór opowiadań

Arthur Machen

Przekład na język polski

Marta Wojnar

Tytuł oryginału: **The Great God Pan**

Wydawca: *Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.*
Przekład na język polski: *Marta Wojnar*
Korekta i redakcja: Dorota Sosulska

Copyright 2026 © for this edition by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.
Copyright 2026 © for this translation by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.

ISBN 9788368676860

Cieszyn 2026

Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.
Ul.Hieronima Przepilińskiego 6
43-400 Cieszyn
NIP: 5242959559

e-mail: *wydawnictwo@wydawnictwoblysk.pl*
www.wydawnictwoblysk.pl

Książka dostępna również w formie audiobooka.

błysk

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Wielki bóg Pan
Rozdział 1 - EKSPERYMENT
Rozdział 2 - WSPOMNIENIA CLARKE’A
Rozdział 3 - MIASTO ZMARTWYCHWSTAŃ
Rozdział 4 - ODKRYCIE NA ULICY PAULA
Rozdział 5 - LIST Z PORADĄ
Rozdział 6 - SAMOBÓJCY
Rozdział 7 - SPOTKANIE W SOHO
Rozdział 8 - FRAGMENTY
Biali ludzie
PROLOG
ZIELONA KSIĄŻKA
EPILOG
Czerwona ręka
Problem haczyków na ryby
Incydent z listem
Poszukiwanie zaginionego nieba
Artysta uliczny
Historia domu skarbów
NAJGŁĘBSZE ŚWIATŁO
I
II

III
IV
V
LŚNIĄCA PIRAMIDA
1. Postać z grotem strzały
2. Oczy na ścianie
3. Poszukiwanie misy
4. Tajemnica piramidy
5. Mali ludzie
WYDAWCA POLECA

Wielki bóg Pan

Rozdział 1 - EKSPERYMENT

– Cieszę się, że przyszedłeś, Clarke; naprawdę ogromnie się cieszę – odezwał się gospodarz. – Nie byłem pewien, czy znajdziesz dla mnie czas.

– Udało mi się wygospodarować kilka dni, moje interesy nie były aż tak naglące – odparł Clarke.

– Ale czy nie masz żadnych obaw, Raymondzie? Czy to przedsięwzięcie jest absolutnie bezpieczne?

Obaj mężczyźni przechadzali się niespiesznie po tarasie przed domem doktora Raymonda. Słońce wciąż jeszcze wisiało nad zachodnią linią gór, ale tliło się już matową, szkarłatną łuną, która nie rzucała cienia. Wokół panował bezruch; od strony wielkiego lasu porastającego zbocze powyżej nadciągnęło wilgotne powietrze, a wraz z nim niosło się rzadkie, ciche gruchanie dzikich gołębi. Poniżej, w rozległej, urokliwej dolinie, rzeka meandrowała łagodnie wśród opustoszałych wzniesień, a gdy tarcza słoneczna zaczęła ostatecznie znikać na zachodzie, znad wody zaczęła unosić się lekka, przejrzysta, biała mgła. Doktor Raymond odwrócił się nagle do swojego przyjaciela.

– Bezpieczne? Oczywiście, że tak – odparł z przekonaniem Raymond.

– Sama operacja jest nadzwyczaj prosta, bez trudu poradziłby sobie z nią każdy przeciętny chirurg.

– I nie ma żadnego ryzyka, na żadnym z etapów? – dopytywał Clarke.

– Żadnego; daję ci słowo, że nie ma tu mowy o jakimkolwiek zagrożeniu fizycznym. Zawsze byłeś zbyt bojaźliwy, Clarke, zawsze. Znasz przecież moją historię; ostatnie dwadzieścia lat życia poświęciłem medycynie transcendentalnej. Słyszałem już, jak nazywano mnie znachorem, szarlatanem i oszustem, podczas gdy ja przez cały ten czas wiedziałem, że zmierzam we właściwym kierunku. Pięć lat temu ostatecznie osiągnąłem swój cel i od tamtej pory każdy kolejny dzień był jedynie przygotowaniem do tego, czego dokonamy dzisiaj.

– Chciałbym wierzyć, że to wszystko prawda – bąknął Clarke, marszcząc brwi i spoglądając z powątpiewaniem na doktora Raymonda.

– Jesteś całkowicie pewien, Raymondzie, że twoja teoria nie jest jedynie fantasmagorią? To z pewnością wspaniała wizja, ale koniec końców... czy to nie tylko ułuda?

Doktor Raymond zatrzymał się gwałtownie i obrócił przez ramię. Był to wychudzony człowiek w średnim wieku, o bladożółtej, schorowanej cerze; lecz gdy teraz stanął oko w oko z Clarke’em, szykując się do odpowiedzi, na jego policzki wystąpił nagły, żywy rumieniec.

– Rozejrzyj się, Clarke. Widzisz te góry, wzniesienia przetaczające się jedno za drugim niczym fale; widzisz lasy i sady, dojrzałe łany zbóż i łąki ciągnące się aż po trzcinowiska nad rzeką. Widzisz mnie stojącego u twego boku i słyszysz mój głos, lecz ja powiadam ci, że wszystko to – od najdalszej gwiazdy, która właśnie rozbłysła na niebie, aż po twardy grunt pod naszymi stopami – jest jedynie snem i ułudą. To cienie, które skrywają przed naszym wzrokiem prawdziwy świat.

Ów prawdziwy świat istnieje, lecz rozciąga się poza tym całym blaskiem i urojeniem; poza owymi polowaniami na arrasach i mrzonkami o życiowej karierze – poza tym wszystkim, niczym za szczelną zasłoną. Nie wiem, czy jakakolwiek istota ludzka kiedykolwiek tę zasłonę uniosła, lecz

jestem pewien, Clarke, że ty i ja ujrzymy tej nocy, jak opada ona z oczu drugiego człowieka. Możesz uważać to za całkowity nonsens, ale to najszczersza prawda, a starożytni doskonale wiedzieli, co oznacza zerwanie tej kurtyny. Nazywali to ujrzeniem wielkiego boga Pana.

Clarke zadrżał; biała mgła gęstniejąca nad rzeką przynosiła ze sobą chłód.

– To doprawdy niesamowite – odezwał się.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, Raymondzie, stoimy właśnie na progu jakiegoś niepojętego świata. Przypuszczam jednak, że użycie skalpela okaże się absolutnie konieczne?

– Tak. To zaledwie drobne nacięcie w istocie szarej, nic więcej. Czysta błahostka, drobne przesunięcie kilku komórek – mikroskopijna zmiana, która mogłaby umknąć uwadze dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu badaczy mózgu. Nie zamierzam zamęczać cię medycznym żargonem, Clarke. Mógłbym zarzucić cię masą technicznych szczegółów, które brzmiałyby niezwykle uczono, ale w gruncie rzeczy pozostawiłyby cię z taką samą wiedzą, jaką masz teraz.

Sądzę jednak, że zdarzało ci się czytywać, ot tak, z czystej ciekawości, w najdalszych, bocznych szpaltach gazet, iż w ostatnich latach poczyniono ogromne postępy w dziedzinie fizjologii mózgu. Sam natknąłem się niedawno na notatkę o teorii Digby’ego i Browne’a Fabera. Teorie i wielkie odkrycia! Tam, gdzie oni stoją dzisiaj, ja byłem już piętnaście lat temu, a chyba nie muszę cię zapewniać, że przez te piętnaście lat nie stałem bezczynnie w miejscu.

– Wystarczy, jeśli powiem, że pięć lat temu dokonałem owego ostatecznego odkrycia, które zwieńczyło piętnaście lat moich wcześniejszych, żmudnych poszukiwań – kontynuował z pasją Raymond.

– Po latach pracy, po latach trudów i błądzenia w absolutnej ciemności, po dniach i nocach rozczarowań, a nierzadko też dręczącej rozpaczy, drżałem na samą myśl, że być może istnieją inni badacze poszukujący tego samego, co ja. W końcu jednak te katusze dobiegły końca. Niesamowita radość przepełniła mą duszę i zyskałem pewność, że moja długa podróż została zwieńczona sukcesem. Stało się to za sprawą czegoś, co wtedy – i w gruncie rzeczy również dzisiaj – wydawało się czystym przypadkiem. Chwila bezwiednej zadumy nad dobrze mi znanymi ścieżkami, którymi kroczyłem już setki razy, nagle objawiła mi wielką prawdę.

Ujrzałem wówczas, jasno nakreślony przed moimi oczami, cały nieznany dotąd świat, niezbadaną sferę – kontynenty, wyspy i bezmierne oceany, po których, jak mniemam, nie pływał żaden okręt, odkąd człowiek po raz pierwszy uniósł głowę, by ujrzeć słońce, gwiazdy na nieboskłonie i cichą ziemię pod swoimi stopami. Pomyślisz zapewne, Clarke, że używam zbyt górnolotnego języka, lecz w obliczu tej tajemnicy niezmiernie trudno o chłodny literalizm.

– A jednak sam nie wiem, czy tego, co próbuję ci przekazać, nie dałoby się ująć w prostszy sposób – kontynuował Raymond.

– Weźmy dla przykładu ten nasz obecny świat. To całkiem sprawne i potężne miejsce, oplecione siecią kabli oraz drutów telegraficznych; ludzkie słowo mknie dziś niemal z prędkością myśli, błyskawicznie docierając od wschodu do zachodu słońca, z północy na południe, ponad bezmiernymi oceanami i pustynnymi bezdrożami.

Wyobraź sobie teraz współczesnego inżyniera elektryka, gdyby nagle uświadomił sobie, że on i jemu podobni zaledwie bawili się żwirem na brzegu, myląc go z fundamentami wszechświata. Przypuśćmy, że taki człowiek dostrzegłby nagle nieskończoną przestrzeń, jaka otwiera się przed prądem elektrycznym, przestrzeń, w której ludzkie słowa mogłyby mknąć

ku słońcu i daleko poza nie, aż ku odległym układom gwiezdnym, a ludzki głos brzmiałby czysto i wyraźnie, odbijając się echem w próżni otaczającej nasz glob.

Jeśli szukać analogii, to jest to doprawdy doskonałe porównanie do tego, czego sam dokonałem. Dopiero teraz, choć wciąż nieporadnie, zaczynam pojmować, co tak naprawdę czułem, stojąc tutaj tamtego wieczoru.

– Był letni wieczór, a dolina wyglądała niemal identycznie jak teraz – wspominał Raymond. – Stałem dokładnie tutaj i ujrzałem przed sobą niewyobrażalną przepaść, ziejącą głęboko między dwoma światami: światem materii i światem ducha.

Widziałem tę wielką, pustą głębinę rozciągającą się przede mną i właśnie w tamtym ułamku sekundy świetlisty most przerzucił się z ziemi na nieznany brzeg, a otchłań przestała istnieć. Możesz zajrzeć do dzieł Browne’a Fabera, a przekonasz się, że współczesnym ludziom nauki niezmiernie trudno jest wyjaśnić obecność lub określić funkcje pewnej konkretnej grupy komórek nerwowych w ludzkim mózgu.

Ów obszar jest dla nich, jakby to ująć, ziemią nieznaną – zwykłym polem do snucia fantazyjnych teorii. Ja jednak nie stoję po stronie Fabera i tutejszych specjalistów; posiadam pełną wiedzę co do rzeczywistych funkcji tych ośrodków nerwowych w odwiecznym porządku rzeczy. Za jednym dotknięciem skalpela mogę powołać je do życia, za jednym dotknięciem uwolnić uśpiony prąd, jednym dotknięciem przerwać wszelką łączność między tym światem zmysłów a... cóż, to zdanie dokończymy znacznie później.

– Tak, skalpel jest niezbędny; ale pomyśl tylko, jakie wywrze skutki! – zawołał Raymond.

– Zburzy całkowicie twardy mur zmysłów i zapewne po raz pierwszy od stworzenia człowieka ludzka dusza spojrzy prosto w świat niematerialny. Clarke, Mary ujrzy wielkiego boga Pana!

– Ale czy pamiętasz, co do mnie napisałeś? – dopytywał Clarke. – Sądziłem, że okaże się konieczne, by ona…

Resztę pytania wyszeptał lekarzowi wprost do ucha.

– Skądże, nic z tych rzeczy. To czysty nonsens, zapewniam cię – uciął Raymond.

– W gruncie rzeczy o wiele lepiej jest tak, jak jest; jestem tego absolutnie pewien.

– Zastanów się dobrze, Raymondzie. To potworna odpowiedzialność. Jeśli coś pójdzie nie tak, do końca swoich dni będziesz człowiekiem nieszczęsnym i przeklętym.

– O nie, nie sądzę, nawet gdyby ziścił się najczarniejszy scenariusz. Jak dobrze wiesz, wyciągnąłem Mary z rynsztoka i uratowałem przed niemal pewną śmiercią głodową. Uważam zatem, że jej życie należy wyłącznie do mnie i mam prawo rozporządzać nim według własnego uznania. Robi się późno, chodźmy już.

Doktor Raymond poprowadził go do wnętrza domu. Minęli hol i ruszyli korytarzem wzdłuż długiego, pogrążonego w mroku przejścia. Wyciągnąwszy z kieszeni klucz, otworzył ciężkie drzwi i gestem zaprosił Clarke’a do laboratorium. Pomieszczenie to, służące niegdyś za salę bilardową, doświetlał szklany świetlik umieszczony pośrodku sufitu, przez który do środka wciąż jeszcze sączyło się ponure, szare światło zmierzchu, oświetlając postać gospodarza. Lekarz zapalił lampę z ciężkim kloszem i postawił ją na stole w centrum pokoju.

Clarke rozejrzał się dokoła. Niemal ani jeden skrawek ściany nie pozostał pusty; ze wszystkich stron otaczały go półki uginające się pod

ciężarem butelek i fiolek o najróżniejszych kształtach, rozmiarach i barwach. W kącie stała niewielka biblioteczka w stylu Chippendale, na którą Raymond wskazał teraz dłonią.

– Widzisz ten pergamin Oswalda Crolliusa? – zapytał.

– Był jednym z pierwszych, którzy wskazali mi właściwą ścieżkę, choć wątpię, by sam kiedykolwiek zdołał dotrzeć do celu. Zostawił po sobie przedziwną sentencję:

„*W każdym ziarnie pszenicy ukryta jest dusza gwiazdy*”.

Laboratorium było umeblowane nadzwyczaj skromnie. Stół na środku, kamienna płyta z odpływem w jednym z narożników oraz dwa fotele, w których dotąd siedzieli Raymond i Clarke – to było wszystko, jeśli nie liczyć osobliwego krzesła stojącego w najdalszym kącie pokoju. Clarke spojrzał na nie i uniósł brwi.

– Tak, to na nim wszystko się odbędzie – odezwał się Raymond.

– Możemy od razu ustawić je we właściwej pozycji.

Wstał, przysunął mebel bliżej źródła światła i zaczął unosić oraz opuszczać siedzisko, regulować kąt nachylenia oparcia i dopasowywać podnóżek. Fotel sprawiał wrażenie nadzwyczaj wygodnego. Clarke przesunął dłonią po jego miękkiej, zielonej aksamitnej tapicerce, podczas gdy gospodarz demonstrował działanie poszczególnych dźwigni.

– Rozgość się, Clarke. Czeka mnie jeszcze kilka godzin pracy; byłem zmuszony odłożyć pewne przygotowania na ostatnią chwilę.

Raymond podszedł do kamiennej płyty, a Clarke przyglądał mu się w ponurym milczeniu. Lekarz pochylił się nad rzędem fiolek i rozpalił płomień pod tyglem. Nad swoją aparaturą, na gzymsie, zamontował małą lampę podręczną, osłoniętą podobnie jak ta większa. Clarke, siedząc głęboko w cieniu, omiótł wzrokiem wielkie, pogrążone w mroku

pomieszczenie, podziwiając osobliwe efekty, jakie dawało zderzenie snopów jaskrawego światła z nieprzeniknioną, gęstą ciemnością.

Wkrótce poczuł przedziwny zapach. Początkowo sądził, że to po prostu zaduch panujący we wnętrzu, lecz gdy woń stała się bardziej wyrazista, ze zdumieniem uświadomił sobie, że wcale nie kojarzy mu się z apteką ani szpitalnym korytarzem. Próbując przeanalizować to doznanie, Clarke zapadł w stan lekkiego oszołomienia. Myślami powrócił do pewnego letniego dnia sprzed piętnastu lat, który spędził na wędrówce po lasach i łąkach w pobliżu rodzinnego domu. Był to początek sierpnia – panował wówczas tak potworny skwar, że kontury drzew i odległe horyzonty zdawały się drżeć i zacierać w gęstej spiekocie. Ludzie sprawdzający wskazania termometrów mówili o rekordowych upałach, pogoda była bowiem iście tropikalna. O dziwo, ten rozżarzony słońcem dzień w wyobraźni Clarke’a nagle zatarł rzeczywistość; oślepiający, wszechobecny blask wymazał z jego oczu blaski i cienie laboratorium.

Znów poczuł na twarzy uderzenie gorącego powietrza, ujrzał rozedrgane nad murawą powietrze i usłyszał niezliczone, senne szmery lata.

– Mam nadzieję, że ten zapach cię nie drażni, Clarke – dobiegł go głos gospodarza. – Nie ma w nim nic szkodliwego. Może cię jedynie nieco zmorzyć, to wszystko.

Clarke usłyszał te słowa całkiem wyraźnie i wiedział, że Raymond kieruje je do niego, lecz za nic w świecie nie potrafił wyrwać się z letargu. Myślał wyłącznie o tamtej samotnej przechadzce sprzed piętnastu lat; było to jego ostatnie wspomnienie pól i lasów, które znał z wczesnego dzieciństwa, a teraz cała ta sceneria stanęła przed nim jasna niczym żywy obraz.

Przede wszystkim do jego nozdrzy napłynęła potężna woń lata – spleciony zapach dzikich kwiatów i poszycia, chłodnych, cienistych

zakątków ukrytych głęboko w zielonych matecznikach, a wywabionych palącym żarem słońca. Nad wszystkim dominował jednak zapach żyznej gleby, rozpostartej wokół niczym z wyciągniętymi do uścisku ramionami i uśmiechniętym obliczem.

Zatopiony w tych urojeniach, znów wędrował dawnymi szlakami: porzucał otwarte pola, by wejść w głąb puszczy, i podążał wąską ścieżką pośród lśniących bukowych zarośli, gdzie woda sączyła się strużkami z wapiennej skały.

Brzmiało to niczym czysta, senna melodia. Myśli Clarke’a poczęły błądzić i splatać się z innymi obrazami; bukowa aleja przekształciła się nagle w ścieżkę biegnącą pośród dzikich ostrokrzewów. Tu i ówdzie dzika winorośl wspinała się z konaru na konar, wypuszczając w górę falujące wąsy i rodząc ciężkie, fioletowe grona, a rzadkie, szarozielone liście dzikich oliwek odcinały się wyraźnie od głębokich cieni rzucanych przez krzewy.

Pogrążony w głębokim śnie Clarke miał pełną świadomość, że droga wiodąca od domu jego ojca zaprowadziła go ostatecznie do jakiegoś nieznanego lądu, i w duchu zdumiewał się jego obcością. Nagle, w miejsce dotychczasowego szumu i gwaru lata, zapadła nieziemska, nieskończona cisza, która zdała się ogarniać cały świat.

Las zamarł w bezruchu, a Clarke przez ułamek sekundy stanął twarzą w twarz z Przeznaczeniem – stanął w obliczu potęgi, przy której sam przestał być człowiekiem czy zwierzęciem, istotą żywą czy umarłą, stając się wszystkim naraz: stopioną jednością, esencją wszelkiego bytu, pozbawioną jednak jakiejkolwiek stałej formy.

W owym ułamku sekundy nierozerwalny sakrament ciała i duszy został rozproszony, a w uszach Clarke’a zawołał jakiś głos: „Chodźmy stąd!”.

Zaraz potem zapadła nieprzenikniona czerń, ciemność rozciągająca się daleko poza gwiazdami – wieczny, głęboki mrok.

Kiedy Clarke wreszcie się ocknął, dostrzegł Raymonda, który przelewał właśnie kilka kropel oleistego płynu do zielonej fiolki, by po chwili szczelnie ją zakorkować.

– Zdrzemnąłeś się – odezwał się lekarz.

– Podróż musiała cię mocno znużyć. Wszystko jest już gotowe. Idę przyprowadzić Mary, wrócę za dziesięć minut.

Clarke trwał nieruchomo w fotelu, pogrążony w rozmyślaniach. Miało się wrażenie, że po prostu przechodzi z jednego snu w drugi. W głębi duszy poniekąd spodziewał się, że surowe ściany laboratorium zaraz się rozpłyną, a on sam obudzi się we własnym łóżku w Londynie, drżąc na wspomnienie owych sennych fantazji. W końcu jednak drzwi ustąpiły i lekarz powrócił, a tuż za nim do pokoju wkroczyła dziewczyna, mająca zapewne około siedemnastu lat, ubrana cała na biało. Była tak olśniewająco piękna, że Clarke przestał się dziwić zachwytom, jakimi Raymond darzył ją w swoich listach. Twarz, szyję i ramiona panny okrywał teraz uroczy rumieniec, lecz sam doktor sprawiał wrażenie całkowicie niewzruszonego.

– Mary – powiedział spokojnie Raymond. – Nadszedł czas. Nic ci nie grozi. Czy jesteś gotowa w pełni mi zaufać?

– Tak, mój drogi.

– Słyszysz to, Clarke? Jesteś moim świadkiem.

Oto twój fotel, Mary. To całkiem proste, po prostu usiądź wygodnie i oprzyj się mocno. Gotowa?

– Tak, jestem gotowa. Ucałuj mnie, Raymondzie, zanim zaczniesz.

Lekarz pochylił się i ucałował ją delikatnie w usta.

– A teraz zamknij oczy – powiedział cicho.

Dziewczyna przymknęła powieki, jakby była znużona. Raymond przyłożył nasączoną płynem chustę z zielonej fiolki do jej nozdrzy. Jej twarz w ułamku sekundy stała się trupio blada, bielsza nawet niż jej sukienka. Szamotała się przez chwilę słabo, a następnie, z cichym westchnieniem pełnym uległości, skrzyżowała ramiona na piersi niczym małe dziecko odmawiające wieczorną modlitwę.

Jaskrawy blask lampy rozświetlił jej postać, a Clarke obserwował cienie przesuwające się po jej obliczu – uderzająco podobne do cieni kładących się na wzgórzach, gdy latem chmury przepływają przed słońcem. Wkrótce leżała już całkowicie biała i nieruchoma. Lekarz uniósł kciukiem jedną z jej powiek; była całkowicie nieprzytomna.

Raymond nacisnął mocno jedną z dźwigni i fotel natychmiast opuścił się do pozycji leżącej. Clarke widział, jak doktor wygolił niewielki krążek na czubku jej głowy, po czym przysunął lampę znacznie bliżej. Gdy Raymond wziął do ręki małe, błyszczące narzędzie, Clarke odwrócił wzrok z głębokim drżeniem serca. Kiedy odważył się spojrzeć ponownie, lekarz szył już ranę, którą przed chwilą zadał.

– Obudzi się za jakieś pięć minut – oznajmił Raymond, wciąż zachowując absolutny spokój.

– Nie mam tu już nic więcej do roboty; pozostaje nam tylko czekać.

Minuty mijały nieznośnie powoli; w ciszy laboratorium niosło się monotonne, ciężkie tykanie starego zegara stojącego w kącie. Clarke poczuł, że słabnie i lada chwila zemdleje; kolana uginały się pod nim tak mocno, że z trudem trzymał się na nogach.

Nagle z piersi dziewczyny wyrwało się przeciągłe westchnienie. Żywy rumieniec, który przed chwilą całkowicie zniknął z jej twarzy, znowu napłynął na policzki, a powieki uniosły się gwałtownie. Clarke aż się zatoczył. Z jej źrenic biło niesamowite, przejmujące blaskiem światło,

a wzrok błądził gdzieś w nieskończonej dali. Na jej twarzy odmalowało się bezmierne, nieziemskie wręcz zdumienie; wyciągnęła przed siebie dłonie, jakby desperacko pragnęła dotknąć czegoś, co dla zwykłych śmiertelników pozostaje niewidzialne.

Lecz w ułamku sekundy owo zachwycenie zniknęło, ustępując miejsca paraliżującemu, potwornemu przerażeniu. Mięśnie jej twarzy wykrzywił makabryczny skurcz, a całe jej ciało zaczęło gwałtownie drżeć od stóp do głów; dusza zdawała się szarpać i miotać wewnątrz cielesnej powłoki. Był to widok iście zatrważający.

Clarke rzucił się naprzód, by ją pochwycić, lecz dziewczyna z rozdzierającym, nieludzkim krzykiem runęła bezwładnie na podłogę.

Trzy dni później Raymond zaprowadził Clarke’a do sypialni Mary, wprost do jej wezgłowia. Dziewczyna leżała z otwartymi oczami, rzucając głową na boki i uśmiechając się przedziwnie, całkowicie bezmyślnie.

– Tak – odezwał się lekarz, wciąż zachowując absolutny chłód.

– To doprawdy wielka strata. Popadła w bezbrzeżny, nieodwracalny obłęd. Nic już nie zdołamy na to poradzić; koniec końców... ona ujrzała wielkiego boga Pana.

Rozdział 2 - WSPOMNIENIA CLARKE’A

Clarke, dżentelmen wybrany przez doktora Raymonda na świadka dziwnego zdarzenia - eksperymentu boga Pana, był osobą, w której charakterze ostrożność i ciekawość dziwnie się mieszały. W chwilach trzeźwości myślał o tym, co niezwykłe i ekscentryczne z nieskrywaną niechęcią, a jednak, głęboko w jego sercu, była szeroko otwarta dociekliwość w odniesieniu do wszystkich najbardziej tajemniczych i ezoterycznych elementów w naturze ludzkiej. Ta ostatnia

tendencja przeważała, gdy przyjął zaproszenie Raymonda. Chociaż jego przemyślany osąd zawsze odrzucał teorie doktora jako najdziksze bzdury, to w swojej wyobraźni skrycie wierzył, że widział potwierdzenie tych teorii.

Okropności, których był świadkiem w ponurym laboratorium, były do pewnego stopnia zbawienne; był świadomy, że jest zaangażowany w sprawę, która nie jest do końca uczciwa i przez wiele lat później dzielnie trzymał się i odrzucał wszelkie okazje do badań okultystycznych.

Rzeczywiście, na jakiejś homeopatycznej zasadzie, przez jakiś czas uczęszczał na seanse wybitnych mediów, mając nadzieję, że niezdarne sztuczki tych panów sprawią, że całkowicie obrzydzą mu mistycyzm każdego rodzaju, ale lekarstwo, choć cierpkie, nie było skuteczne. Clarke wiedział, że wciąż tęskni za niewidzialnym. Stara namiętność zaczęła się w nim odradzać, w miarę jak twarz Mary, drżąca z nieznanego przerażenia, powoli znikała z jego pamięci.

Po całym dniu wypełnionym poważnymi, a zarazem lukratywnymi sprawami, nachodziła go chęć na wspaniały wieczorny relaks. Szczególnie

w miesiącach zimowych, kiedy ogień rzucał ciepły blask na jego przytulne kawalerskie mieszkanie, a pod ręką stała butelka wybornego bordo. Po kolacji, gdy już wszystko przetrawił, udawał, że czyta wieczorną gazetę, ale zwykły pakiet wiadomości szybko mu się nudził.

Clarke rzucał pełne pokusy spojrzenia w stronę starego japońskiego biurka stojącego w pewnej odległości od kominka. Niczym chłopiec kręcący się koło szafki z dżemem, przez kilka minut wahał się niepewnie, ale ciekawość zawsze brała górę. Podnosząc krzesło zapalił świecę i usiadł przed biurkiem. Na półeczkach i w szufladach roiło się od dokumentów dotyczących najbardziej osobliwych tematów, a w schowku leżał duży tom rękopisu, który dołączył do klejnotów jego kolekcji.

Mężczyzna gardził publikowaną literaturą – nawet najbardziej niesamowita opowieść traciła dla niego urok, jeśli trafiła do druku. Jego jedyną pasją stało się zbieranie, spisywanie i układanie zapisków, które zatytułował „Wspomnienia mające dowieść istnienia diabła”. To właśnie temu przedsięwzięciu poświęcał cały swój czas. Wieczór wydawał się szybko mijać, a noc wydawała się zbyt krótka.

To była wyjątkowo paskudna grudniowa noc – czarna od mgły i przejmująco zimna. Clarke zjadł kolację wcześniej niż zazwyczaj. Od razu dopadły go dawne nawyki: wziął do ręki notes, by po chwili znów go odłożyć. Przeszedł parę kroków, otworzył drzwi, postał w nich przez moment i z powrotem usiadł. Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, bez reszty pochłonięty jednym ze swoich osobliwych rojów. Ostatecznie wyciągnął notatnik i otworzył go na ostatnim wpisie. Kilka stron pokrywały gęste, okrągłe i bardzo czytelne zapiski. Na stronie tytułowej wykaligrafował nieco większymi literami nagłówek:

„Niezwykła historia opowiedziana mi przez mojego przyjaciela, doktora Phillipsa. Zapewniał mnie on, że wszystkie zawarte w niej fakty są

całkowicie prawdziwe, choć odmówił wyjawienia nazwisk zaangażowanych osób oraz nazwy okolicy, w której rozegrały się te zdarzenia.”

Clarke zaczął czytać po raz dziesiąty, rzucając okiem na notatki, które zrobił ołówkiem, słuchając opowieści swojego przyjaciela. To była jedna z jego pasji, by szczycić się swymi zdolnościami literackimi; był zachwycony swoim stylem i starał się układać okoliczności w dramatycznym porządku. Przeczytał, co następuje:

„Osobami, których dotyczy ta relacja, są: Helen V. (jeśli wciąż żyje, ma obecnie dwadzieścia trzy lata), nieżyjąca już Rachel M., o rok młodsza od wspomnianej dziewczyny, oraz osiemnastoletni Trevor W., dotknięty umysłowym niedorozwojem. W czasie, w którym rozgrywa się ta opowieść, wszyscy oni byli mieszkańcami pewnej osady na pograniczu Walii. Miejscowość ta, mająca niewielkie znaczenie już w czasach rzymskich, liczyła nie więcej niż pięćset dusz. Leży na wzgórzu, około sześciu mil od morza, otulona gęstym, malowniczym lasem.”

Jedenaście lat temu Helen V. pojawiła się w wiosce w szczególnych okolicznościach. Wiadomo było, że jako sierota została przygarnięta w wieku niemowlęcym przez dalekiego krewnego. Mężczyzna wychowywał ją u siebie do dwunastego roku życia. Doszedł jednak do wniosku, że dziewczynce przyda się towarzystwo rówieśników, dlatego dał ogłoszenie w paru miejscowych pismach, szukając dla niej dobrego, gościnnego domu.

Na ogłoszenie odpowiedział pan R., zamożny gospodarz ze wspomnianej wioski, którego referencje okazały się bez zarzutu. Krewny wysłał więc przybraną córkę pod jego dach, dołączając list. Zastrzegł w nim, że dziewczynka musi mieć osobny pokój, oraz zaznaczył, że nowi opiekunowie powinni stale roztaczać nad nią czujną opiekę.

Kwestia edukacji nie nastręczała trudności, jako że dziewczynka odebrała już wychowanie odpowiednie do pozycji, jaką miała zająć w świecie. W istocie pan R. otrzymał instrukcję, by pozwolić jej na pełną swobodę i pozwolić spędzać czas tak, jak jej się podoba. Gospodarz odebrał ją z najbliższej stacji kolejowej, w miasteczku oddalonym o siedem mil od domu. Nie zauważył w dziecku niczego osobliwego oprócz tego, że była niezwykle małomówna i stanowczo odmawiała rozmów o swoim dotychczasowym życiu czy przybranym ojcu.

Dziewczynka uderzająco różniła się od mieszkańców wioski; miała oliwkową cerę oraz wyraziste, niezwykle oryginalne rysy twarzy. Wydawało się, że z łatwością zadomowiła się u gospodarza. Szybko też zyskała sympatię miejscowych dzieci, które czasami towarzyszyły jej w wędrówkach po lesie. Pan R. wspominał, że mała wychodziła z domu tuż po wczesnym śniadaniu i nie wracała aż do zmierzchu. Niepokoiło go, że tak młoda osoba spędza samotnie całe dnie na pustkowiu.

Zaniepokojony tym, że tak młoda dziewczynka spędza samotnie tyle godzin, pan R. skontaktował się z jej przybranym ojcem. Ten jednak odpowiedział w krótkiej notatce, że Helen ma pełną swobodę i należy pozwolić jej robić to, co sama uzna za stosowne. Zimą, gdy leśne ścieżki stawały się nieprzejezdne, dziewczynka spędzała większość czasu w swojej sypialni. Sypiała tam zupełnie sama, zgodnie z wytycznymi swojego krewnego.

To właśnie podczas jednej z tych leśnych wędrówek, około roku po jej przybyciu do wioski, doszło do pierwszego z niezwykłych incydentów związanych z tą dziewczyną. Poprzednia zima była wyjątkowo sroga – śnieg pokrył wszystko grubą warstwą, a mróz trzymał bardzo długo. Kolejne lato zaskoczyło wszystkich równie ekstremalnymi upałami. W jeden z najgorętszych dni tamtej pory roku Helen V. opuściła

gospodarstwo i udała się w głąb lasu, zabierając ze sobą, jak miała w zwyczaju, nieco chleba i mięsa na drogę.

Kilku mężczyzn pracujących na polach sąsiadujących ze starą rzymską drogą – zielonym traktem przecinającym najwyższą partię lasu – widziało, jak Helen tamtędy szła. Ku ich zdziwieniu dziewczyna splotła dłonie i zdjęła kapelusz, choć z nieba lał się bezlitosny żar. Los chciał, że tamtego dnia w pobliżu Rzymskiego Szlaku pracował również robotnik imieniem Joseph W.

O dwunastej mały Trevor przyniósł ojcu posiłek składający się z chleba i sera. Po jedzeniu siedmioletni wówczas chłopiec zostawił mężczyznę przy pracy i – jak później opowiadał – poszedł szukać leśnych kwiatów. Po chwili robotnik usłyszał okrzyk syna. Pomyślał, że to zwykły przejaw dziecięcego zachwytu i nie poczuł niepokoju. Nagle jednak powietrze rozdarł przeraźliwy, pełen śmiertelnej trwogi wrzask, dobiegający z gęstwiny, w którą zapuścił się malec. Przerażony ojciec rzucił narzędzia i pędził na ratunek. Kierując się głosem, natknął się na synka, który uciekał na oślep, niemal odchodząc od zmysłów ze strachu.

Zapytany o powód ucieczki, malec wyjaśnił, że zbierając kwiaty, poczuł znużenie, położył się na trawie i zasnął. Ze snu wyrwał go osobliwy dźwięk, przypominający monotonny śpiew. Gdy wyjrzał zza gałęzi, zobaczył Helen V. bawiącą się na polanie z „przedziwnym, nagim mężczyzną”, którego nie potrafił dokładniej opisać. Przerażony tym widokiem chłopiec rzucił się do ucieczki, z płaczem nawołując ojca. Joseph W. natychmiast ruszył we wskazanym kierunku i zastał Helen siedzącą samotnie na środku dawnego wypaliska węglowego. Wzburzony oskarżył ją o nastraszenie dziecka, lecz dziewczyna stanowczo wszystkiemu zaprzeczyła.

Helen wyśmiała opowieść o „dziwnym człowieku”, a sam Joseph W. również nie przywiązał do niej większej wagi. Doszedł do wniosku, że syn po nagłym przebudzeniu po prostu uległ chwilowej, dziecięcej trwodze. Trevor jednak uparcie trzymał się swojej wersji i wciąż powtarzał to samo. Wobec tego ojciec zabrał go w końcu do domu, licząc na to, że matka zdoła ukoić jego nerwy.

Niestety, przez kolejne tygodnie rodzice żyli w głębokim niepokoju; chłopiec stał się chorobliwie lękliwy, a jego zachowanie budziło coraz większy instynktowny lęk. Odmawiał samodzielnego opuszczenia chaty i nieustannie alarmował domowników, budząc się w nocy z okrzykami „Człowiek w lesie! Tato! Tato!”

Z upływem czasu lęk chłopca zaczął przygasać. Około trzech miesięcy później Trevor towarzyszył ojcu w odwiedzinach u pewnego dżentelmena z sąsiedztwa, dla którego Joseph W. od czasu do czasu pracował. Drwal został poproszony do gabinetu, malec zaś czekał w przedpokoju. Kilka minut później, gdy gospodarz wydawał ojcu instrukcje dotyczące pracy, obu mężczyzn zmroził przeszywający krzyk, po którym nastąpił odgłos ciężkiego upadku. Wybiegłszy na korytarz, znaleźli dziecko leżące bez ruchu na podłodze. Twarz chłopca była potwornie wykrzywiona trwogą.

Natychmiast wezwano lekarza, który po przeprowadzeniu badań orzekł, że dziecko miało atak paniki, najwyraźniej spowodowany nagłym szokiem. Chłopiec został zabrany do jednej z sypialni i po pewnym czasie odzyskał przytomność, ale tylko po to, by przejść w stan opisany przez lekarza jako gwałtowna histeria.

Wezwany lekarz podał dziecku silny środek uspokajający. Po dwóch godzinach uznał, że chłopiec może już wrócić do domu, lecz gdy tylko weszli do sieni, atak histerii powrócił ze zdwojoną siłą. Ojciec zauważył, że przerażony malec wyciąga rączkę w stronę ściany i krzyczy bez

opamiętania: „Człowiek z lasu! Człowiek z lasu!”. Podążając za wzrokiem syna, Joseph dostrzegł zawieszoną nad drzwiami groteskową, kamienną rzeźbę głowy.

Właściciel posiadłości najwyraźniej prowadził w owym czasie renowację domu. Podczas przebudowy dawnych gabinetów robotnicy natknęli się na osobliwą, kamienną rzeźbę, pochodzącą bez wątpienia z epoki rzymskiej. Gospodarz zdecydował o umieszczeniu jej nad drzwiami. Najbardziej cenieni archeolodzy w regionie orzekli później jednogłośnie, że znalezisko przedstawia głowę fauna lub satyra.

[*Doktor Phillips powiedział mi, że widział wspomnianą rzeźbę i zapewniał mnie, iż nigdy dotąd nie napotkał tak sugestywnego ucieleśnienia czystego, potężnego zła].

Niezależnie od przyczyny, ten drugi wstrząs okazał się dla Trevora zbyt silny. Chłopiec popadł w głęboki obłęd, który nie dawał już nadziei na jakikolwiek ratunek. Sprawa wywołała wówczas w okolicy niemałą sensację, a Helen została poddana przez pana R. szczegółowemu przesłuchaniu. Wszystko to na nic – dziewczyna uparcie zaprzeczała, jakoby celowo wystraszyła lub w jakikolwiek sposób dręczyła malca.

Drugie wydarzenie powiązane z imieniem Helen miało miejsce około sześciu lat temu i odznaczało się jeszcze bardziej osobliwą naturą.

Na początku lata 1882 roku dziewczyna bardzo zżyła się z Rachel M., córką zamożnego rolnika z sąsiedztwa. Tę młodszą o rok od Helen pannę większość mieszkańców uważała za ładniejszą z nich, chociaż z wiekiem rysy Helen znacznie złagodniały. Obie dziewczyny, spędzały ze sobą niemal każdą chwilę i stanowiły uderzający kontrast. Helen, z wyrazistą, oliwkową cerą, miała w sobie coś z południowej, włoskiej urody. Rachel zaś wyróżniała się tradycyjną, różano-białą cerą naszych wiejskich panien. Warto dodać, że w wiosce powszechnie wiedziano o niezwykle hojnych

sumach, jakie pan R. otrzymywał na utrzymanie Helen. Plotkowano wręcz, że dziewczyna odziedziczy w przyszłości ogromny majątek.

Rodzice Rachel nie sprzeciwiali się zatem tej relacji, a nawet zachęcali dziewczęta do zażyłości – choć dziś gorzko tego żałują. Helen wciąż z uporem lgnęła do lasu, a przyjaciółka zaczęła jej towarzyszyć w tych wędrówkach. Niekiedy wyruszały o świcie i znikały w gęstwinie aż do zmierzchu. Raz czy dwa pani M. dostrzegła w zachowaniu córki coś osobliwego. Dziewczyna bywała ospała, rozmarzona i – jak to ujęła matka – „zupełnie niepodobna do siebie". Objawy te zlekceważono jednak, uznając je za zbyt błahe, by podnosić alarm.

Jednak pewnego wieczoru, po powrocie Rachel do domu, jej matka usłyszała w pokoju córki dźwięk przypominający stłumiony szloch. Gdy weszła do środka, zastała dziewczynę leżącą na łóżku, na wpół roznegliżowaną i pogrążoną w głębokiej rozpaczy. Na widok rodzicielki wykrzyknęła: „Och, mamo, dlaczego pozwoliłaś mi iść do lasu z Helen?". Pani M., zaskoczona tak osobliwymi słowami, zaczęła natychmiast dociekać prawdy. Wtedy Rachel wyjawiła jej swą szaloną opowieść. Powiedziała…

Clarke zamknął notes z trzaskiem i obrócił krzesło w stronę kominka. Gdy pewnego wieczoru jego przyjaciel siedział w tym samym fotelu i opowiadał tę historię, Clarke przerwał mu dokładnie w tym miejscu, w którym tekst w brulionie się urywał. Doktor zamilkł wtedy gwałtownie, sparaliżowany nagłym przypływem przerażenia.

– Mój Boże! – wykrzyknął. – Pomyśl tylko, co ty mówisz! To zbyt nieprawdopodobne, zbyt potworne. Takie rzeczy nigdy nie mogłyby się wydarzyć w naszym spokojnym świecie, gdzie mężczyźni i kobiety po prostu żyją i umierają, walczą, zwyciężają lub ponoszą klęskę. To jednak niezwykle osobliwe, Phillips. Musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie,

jakiś klucz do tej zagadki. Gdyby to wszystko okazało się prawdą, nasza Ziemia byłaby jedynie miejscem pełnym koszmarów.

Ale Phillips opowiedział swoją historię do końca, podsumowując:

– Jej zniknięcie do dziś pozostaje tajemnicą – odparł doktor. – Rozpłynęła się w powietrzu na otwartej, zalanej słońcem przestrzeni. Widzieli ją jeszcze, jak idzie przez łąkę, a kilka chwil później już jej nie było.

Clarke próbował to sobie wyobrazić, siedząc przy gasnącym kominku. Jego umysł znów zadrżał i cofnął się w trwodze przed wizją, w której te potworne, nienazywalne pierwiastki brały górę nad ludzkim ciałem. Przed oczami duszy roztaczał mu się długi, mglisty obraz leśnego, zielonego szlaku, który opisał przyjaciel. Widział kołyszące się liście i drżące na trawie cienie, widział plamy słońca oraz kwiaty, a daleko, na samym horyzoncie – dwie zbliżające się postacie. Jedną z nich była Rachel, ale kim była ta druga?

Clarke starał się w to wszystko nie wierzyć, ale na koniec umieścił w swoim notesie

napis:

Et Diabolus incarnatus est. Et homo factus est.

Rozdział 3 - MIASTO ZMARTWYCHWSTAŃ

– Herbert?! Dobry Boże! Czy to w ogóle możliwe?

– Tak, nazywam się Herbert – odpowiedział tamten. – Twoja twarz również wydaje mi się znajoma, choć nie mam pewności. Moja pamięć bardzo już szwankuje. Wybacz, ale nie pamiętam twojego imienia.

– Nie pamiętasz Villiersa z Wadham?

– Villiers! Tak, teraz pamiętam... Wybacz mi, Villiersie, na miły Bóg, proś o wybaczenie starego przyjaciela z uniwersytetu. Nie powinienem był cię nie poznać... Dobranoc.

– Mój drogi, ten pośpiech jest zupełnie zbędny – powiedział Villiers. – Nasze apartamenty są co prawda niedaleko, ale na razie tam nie idźmy. Przejdźmy się raczej przez Shaftesbury Avenue, to przecież krótki spacer. Ale jak, na Boga, doszedłeś do czegoś takiego, Herbercie?

– To długa i niezwykle osobliwa historia, Villiersie – odparł Herbert. – Ale jeśli masz ochotę, chętnie ci ją opowiem.

– Chodź ze mną – powiedział Villiers. – Weź mnie pod ramię, bo nie wyglądasz na zbyt silnego.

Ta osobliwa para ruszyła powoli w górę Rupert Street. Jeden z nich odziany był w brudne, odpychające łachmany, drugi zaś nosił nienaganny, elegancki strój wieczorowy, świadczący o wielkiej zamożności. Villiers wyszedł właśnie z restauracji po wykwintnym obiedzie, pokrzepiony wybornym Chianti. Znajdował się w stanie ducha, który był dla niego niemal naturalny – zatrzymał się na chwilę w progu, omiatając wzrokiem

słabo oświetloną ulicę. Jak zwykle wypatrywał tajemnic i niezwykłych postaci, od których o każdej porze dnia i nocy roi się w zaułkach Londynu.

Villiers szczycił się tym, że jest wprawnym badaczem tak zawiłych labiryntów i mrocznych ścieżek londyńskiego życia, a w tym bezinteresownym zajęciu wykazywał się uporem, który z powodzeniem mógłby poświęcić jakiejś poważniejszej profesji. Stał więc pod latarnią, przyglądając się przechodniom z nieskrywaną ciekawością i powagą cechującą wyłącznie wytrawnych obserwatorów. Właśnie powtarzał w myślach swoją ulubioną sentencję: „Londyn nazwano miastem spotkań, lecz jest on czymś znacznie więcej – to miasto zmartwychwstań”.

W tym samym momencie jego rozmyślania przerwało ciche skomlenie i żałosna prośba o jałmużnę. Odwrócił się z nagłą irytacją i zaskoczeniem, po czym stanął twarzą w twarz z żywym ucieleśnieniem swoich osobliwych urojeń.

Tuż obok niego stał człowiek o twarzy całkowicie zmienionej, wręcz oszpeconej przez nędzę i cierpienie. Jego ciało ledwo skrywało się pod brudnymi, niedopasowanymi łachmanami.

Był to jego dawny przyjaciel, Charles Herbert – ten sam, z którym zapisał się na uniwersytet tego samego dnia i z którym spędził bez mała dwanaście pełnych radosnych oraz mądrych dyskusji semestrów. Różne koleje losu przerwały tę zażyłość; minęło sześć lat, odkąd Villiers widział Herberta po raz ostatni.

Teraz patrzył na ten ludzki wrak z głębokim żalem i zgrozą, którym towarzyszyła jednak paląca ciekawość dotycząca ponurych okoliczności, jakie doprowadziły go do takiego stanu. Choć była to potworna przemiana, Villiers oprócz szczerego współczucia odczuwał też swoistą satysfakcję z obcowania z tak fascynującą zagadką, w duchu gratulując sobie własnego, bezpiecznego życia.

Przez pewien czas szli w milczeniu, a przechodnie znienacka wpatrywali się ze zdumieniem w ten osobliwy widok: eleganckiego dżentelmena, pod ramię z którym szedł najprawdziwszy nędzarz. Villiers zaprowadził towarzysza w głąb jednej z mrocznych, obskurnych uliczek Soho. Tam ponowił swoje pytanie.

– Jak do tego doszło, Herbercie? – zapytał Villiers. – Zawsze byłem pewien, że ułożyłeś sobie życie i masz świetną pozycję w Dorsetshire. Czyżby ojciec cię wydziedziczył? Mam nadzieję, że nie.

– Nie, Villiersie. Po śmierci mojego biednego ojca cały majątek przeszedł na mnie – odparł Herbert. – Odszedł rok po tym, jak opuściłem Oksford. Był dla mnie nadzwyczaj dobrym człowiekiem i szczerze opłakiwałem jego stratę. Sam jednak wiesz, jacy bywają młodzi ludzie...

– Kilka miesięcy później przyjechałem do stolicy i zacząłem bywać na salonach – kontynuował Herbert. – Miałem rzecz jasna doskonałe listy polecające, więc wszystko szło gładko; bawiłem się świetnie, a przy tym zupełnie niewinnie. Czasami grywałem w karty, lecz nigdy na wysokie stawki, ot kilka zakładów, które postawiłem na wyścigach, przyniosło mi nawet parę groszy. To niewiele, ledwie kilka funtów, ale akurat tyle, by opłacić cygara i podobne skromne zachcianki. Tak wyglądały same początki, potem jednak los się ode mnie odwrócił. Słyszałeś w ogóle o moim małżeństwie?

– Nie, nigdy o tym nie słyszałem – odparł Villiers.

– Tak, ożeniłem się, Villiersie – podjął Herbert. – Podczas wizyty u znajomych poznałem dziewczynę; była najwspanialszą istotą, jaką w życiu widziałem, kobietą o przedziwnej, magnetycznej urodzie. Nie potrafię określić jej wieku, bo nigdy go nie poznałem, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że miała około dziewiętnastu lat, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej.

